

Spośród tradycyjnych sposobów odbioru kultury, czytanie jest jedynym, do którego człowiek nie został przystosowany ewolucyjnie.

Słuchanie muzyki, oglądanie obrazów, sztuk teatralnych opiera się na sprawnościach ludzkich zmysłów i mózgu doskonalonych przez miliony lat. Do lektury natomiast nie wystarczy zdolność dostrzegania znaków na papierze – zachodzi tu nadto skomplikowany proces transformowania symboli w znaczenia. Jest on efektem treningu, który każdy człowiek z osobna musi przejść, zanim przekroczy granicę imperium książki.

Ten trening oraz powtarzane doświadczenia czytelnicze zmieniają strukturę kognitywną w sposób jak najbardziej mierzalny. Skany neurologiczne ujawniają obszary mózgu aktywowane w trakcie lektury; uwidaczniają się różnice w skali makro i mikro. Eksperymenty pokazały, że już samo wyobrażenie sobie liter zapala neurony w innych rejonach mózgu, gdy są to małe litery (a), i w innych rejonach, gdy wielkie (A).

Wtrenowanie się w biegłość w danym języku oznacza bowiem najzupełniej dosłowne przeformatowanie mózgu, tj. wykształcenie w nim neuronowych połączeń i trybów aktywności najlepiej odpowiadających specyfice danego języka. Maryanne Wolf w „Proust and the Squid. The Story and Science of the Reading Brain” przytacza multum fascynujących przykładów. I tak: osoby anglojęzyczne (posługujące się alfabetem łacińskim) wykorzystują prawie wyłącznie lewą półkulę, zwłaszcza jej tylną część. Osoby posługujące się alfabetem chińskim (logosylabowym) używają zaś do lektury obu półkul. Przypadek czytelników japońskiego jeszcze uwypukla tę specyfikę: mamy tam sylabiczne pismo kana, stosowane do nazw własnych, słów obcych, technicznych itp., i mamy logograficzne pismo kanji, bliższe chińskiemu. Na skanach widać, jak mózg Japończyka „przeskakuje” między aktywnościami właściwymi chińskiemu lub angielskiemu, nawet gdy odczytuje te same słowa zapisane w kana i kanji.

Czy różnice zależą wyłącznie od języka, czy także od sposobu posługiwania się nim? W historii ludzkości doświadczyliśmy tu co najmniej jednej rewolucji: przejścia z kultury słowa mówionego do kultury słowa pisanego. Grzegorz Jankowicz („TP” 31/10) przywołuje słynne obawy Sokratesa z Platońskiego „Fajdrosa” – że pismo spowoduje osłabienie pamięci – jako przykład bezpodstawnych lęków wobec przemian cywilizacyjnych. Czy Sokrates nie miał jednak racji?

Fałszywe rozumienie

Zmiana nastąpiła. Ludzie wychowani w kulturze słowa pisanego (zwłaszcza – w kulturze druku) inaczej mówią, inaczej myślą, inaczej zapamiętują i inaczej postrzegają świat.

Już nie uczymy się słuchowo, w rozmowie, kształtowani przez osobowe relacje z nauczycielem (mistrzem); uczymy się wzrokowo, z martwego, niezmiennego tekstu, „od nikogo”.

Dla Sokratesa myślenie to był dialog – z kimś albo z sobą samym. W grece homeryckiej nie da się właściwie opisać procesów myślowych, tak jak to czynimy dzisiaj: „czytając” swój umysł.

W kulturze oralnej pamięć jednostkowa pełniła rolę biblioteki publicznej. Zastanówmy się: ile stron (poezji, prozy) znamy teraz na pamięć? Ludzie z pokolenia moich dziadków recytowali z głowy długie ustępy klasyki, i to w podeszłym wieku.

Kiedy uczysz się ze słuchu i polegasz wyłącznie na pamięci, nie masz odruchu kwestionowania usłyszanego – najważniejsze, by wpiern wiernie zapamiętać przekaz. Nastawienie interpretacyjne i całe instrumentarium nowożytnego myślenia krytycznego powstały dopiero dzięki upowszechnieniu pisma.

Ważniejszą niż zarzut uwiądu pamięci była jednak obiekcja Sokratesa dotycząca „fałszywego rozumienia”: możesz przeczytać kompendium danej nauki i uważać się za wyedukowanego w niej, w istocie niewiele pojąwszy z tego, co przeczytałeś. Kształcąc się w żywej interakcji z rozmówcą-nauczycielem, nie pospieszysz do następnego etapu dyskursu, nie przyswoiwszy istoty poprzedniego. Twój rozmówca potrafi rozpoznać, gdy nie rozumiesz, o czym mówisz; książka – nie. Różnice dają się obiektywnie zmierzyć. Badania portugalskich neurologów (skany MRI rozmaicie wykształconych 60-latków) pokazały, że analfabeci wykonują zadania językowe – także podczas rozmowy – w płacie czołowym, a czytający – w płacie skroniowym.

Przejście do kultury opartej na cyfrowych technologiach komunikacji (i do człowieka o mózgu przez nie sformatowanym) oznacza zmianę co najmniej tak samo doniosłą jak ta, której świadkiem był Sokrates.

Myślę w rytmie staccato

Medialna kariera „kłatwy lektury internetowej” zaczęła się od publikacji artykułu Nicholasa Carra „Is Google Making Us Stupid?” w „The Atlantic” (lipiec 2008 r.). Carr rozwija go następnie w książkę („The Shallows”). Media podjęły ten temat ochoczo. Przytaczano m.in. rozpropagowane przez Carra wyniki eksperymentu przeprowadzonego przez Gary’ego Smalla z UCLA. Small wpakował do skanera MRI dwie grupy ochotników: doświadczonych internautów oraz nowicjuszy. Wyraźnie uwidoczniła się różnica ich aktywności mózgowej w trakcie korzystania z internetu: struktury aktywności „starych” internautów były znacznie bardziej rozbudowane, zwłaszcza w ośrodkach podejmowania decyzji i rozwiązywania problemów w korze przedczołowej. Small następnie dał ochotnikom sześć dni przerwy, w trakcie których nowicjusze mieli spędzać godzinę dziennie na przeszukiwaniu internetu. Kolejne skany ujawniły dramatyczną zmianę we wzorcach aktywności świeżych internautów: ich mózgi właściwie nie różniły się od mózgów internetowych weteranów. Byli już trochę innymi ludźmi, trochę inaczej myśleli.

Eksperymenty kliniczne nie są konkluzywne, lecz potwierdzają osobiste doświadczenia, które w mniej konkretny sposób opisywali użytkownicy sieci; Carr zaś jako pierwszy zebrał i nagłośnił te relacje.

„Kiedyś potrafiłem zagłębić się w lekturze na długie godziny – dzisiaj walczę, by skupić się na kilku stronach. Czuję niemal fizycznie, jak coś wyrывa mnie z lektury: mój umysł przeskakuje z tekstu do innego strumienia informacji, nawet gdy nie ma żadnego innego strumienia informacji”.

„Myślę w rytmie staccato. Umiem odbierać »równolegle« krótkie przekazy z wielu źródeł, ale nie jestem już w stanie przeczytać »Wojny i pokoju«”.

Nawet gdy chcą, nie potrafią „przełączyć” sobie mózgu z powrotem: nabycie biegłości internetowych wyklucza zachowanie starej zdolności do lektury.

Głód bodźców

Zauważyłem u siebie następujący objaw: sama m o ż l i w o ś ć dostępu do sieci (wejścia w tryb myślenia ? la Google) czyni niezwykle trudnym skupienie się i pracę nad tekstem w tradycyjny sposób. Muszę fizycznie odciąć się od dopływu informacji, żeby umysł przestawił się na „myślenie książkowe”, przestał skakać po skojarzeniach i domagać się coraz to nowych bodźców uwagi. Ale nie wystarcza zamknięcie przeglądarki czy odejście parę kroków od komputera – bo nadal w i e m, że od strumienia informacji dzieli mnie jedna decyzja, jedna sekunda; umysł czeka w gotowości.

To samo dotyczy prób czytania głębszych narracji przy włączonym komputerze z dostępem do sieci, nawet jeśli sam monitor został wyłączony. Stąd coraz popularniejszy sztywny podział na komputer z internetem i komputer bez internetu, przeznaczony wyłącznie do pracy.

Może jednak to wyłącznie kwestia formy i te same dane przyswoimy sobie równie dobrze, gdy podane zostaną w „trybie internetowym”? Jeszcze w 2001 r. przeprowadzono następujący test: jedna grupa czytała opowiadanie w tradycyjnej formie, a druga – przedstawione na sposób internetowy (hipertekstowo). Czytaczom internetowym lektura nie tylko zabrała więcej czasu, ale na koniec siedmiokrotnie częściej zgłaszali niezrozumienie tego, co właśnie przeczytali.

Prowadzono też badania masowe, podglądające aktywność internautów. Statystyczny użytkownik nie wytrzymuje w jednym tekście dłużej niż kilka akapitów, po czym przeskakuje do następnego. Czasami zapisuje dłuższe dokumenty, ale czy kiedykolwiek później do nich wraca?

Biznes dawno rozpoznał te prawidłowości: teksty zamieszczane w komercyjnych portalach dzieli się na maleńkie strony-porcje.

Powstał sieciowy akronim na ów nieprzezwyčajalny odruch ucieczki ze zbyt rozbudowanego wywodu: TL;DR. Too Long; Didn't Read. Zbyt długie; nie przeczytałem.

Bez wynikania

Zachodzą jednak zmiany głębsze, sięgające poza sposób zdobywania informacji, do samego rdzenia procesów myślowych. Znajomi nauczyciele akademicki opowiadają

mi o rosnącej różnicy między studentami z roczników „wychowanych na Google” i dawniejszych. Z tymi pierwszymi coraz trudniej wejść w intelektualny dialog opierający się na formach wnioskowania właściwych dla „kultury książki”.

Rozumowania wymagające utrzymania w głowie długich łańcuchów implikacji (A ? B ? C ? D ? E) okazują się coraz trudniejsze. Umysły zguglowane sprawnie natomiast rozumują „przez sąsiedztwo”, operując wtedy nawet na bardzo dużych zbiorach danych ({A, B, C, D} {E, F, B} {A, C, E, G, H, I}).

Rozumowania asocjacyjne zastępują inferencje i implikacje właściwie we wszystkich dziedzinach życia. W reklamie dawno stały się normą – ale również w debacie publicznej i coraz częściej w artykułach prasowych przemawia się do nas porzuciwszy argumentacje, w których jedna myśl wynika z drugiej, na rzecz huraganowych salw niepowiązanych stwierdzeń: „Polska jest piękna”; „Trzy razy trzy równa się dziewięć”; „Mój przeciwnik to cham”. Implikacja nie pełni nawet roli retorycznej. Np. były minister Kaczmarek frazy „w związku z powyższym” używa zamiast przecinka – żadne związki logiczne tam nie występują, ale któż to dostrzeże?

Google zgwałciło nam mózgi.

Rytuały mózgu

Czytający także piszą. (A może: piszący także czytają?)

Google to oczywiście symbol i soczewka ogółu procesów cywilizacyjnych i nowoczesnych technologii, które po rewolucji komputerowej zmieniają nasze życie. A zależności biegną w obie strony: znaczenie ma nie tylko sposób, w jaki odbieramy treści, ale też to, jak je tworzymy.

Wielokrotnie przytaczano anegdotę o przygodzie Nietzschego z maszyną do pisania: przymuszony stanem zdrowia, „przesiadł się” na nią w 1882 r. Znajomi natychmiast spostrzegli różnicę: Nietzsche stał się myślicielem jeszcze bardziej zwięzłym, aforystycznym. Heidegger wyklinał maszynę do pisania z zasady: jako przyczynę nawet brutalniejszego oderwania przedmiotu pisarstwa (słowa) od podmiotu (piszącego). Rytuały twórców literatury pięknej dla laika sprawiają wrażenie zgoła magicznych. Władimir Nabokov pisał na stojąco, na tysiącach fiszek, rearanżując je potem w dowolnych konfiguracjach – co odbijało się w zawikłanej strukturze jego powieści. Truman Capote z kolei pisał na leżąco, co więcej: pierwszą i drugą wersję – ręcznie ołówkiem, trzecią – na maszynie. Neal Stephenson, przechodząc od science fiction do historycznej epopei, zamienił komputer na wieczne pióro i ryzy papieru czerpanego.

Ale to nie puste rytuały, to naturalne uwarunkowanie mózgu. Wittgenstein (późny) ujmował myślenie w kategoriach bardzo praktycznych czynności fizycznych. Myślenie to operowanie znakami – lecz operujemy nimi ręką (gdy piszemy), ustami i krtanią (gdy mówimy) itd. „Mają zatem sens wyrażenia: »myślimy naszymi ustami«, »myślimy ołówkiem i kartką papieru«”.

Dzisiaj zaś myślimy edytorami tekstu, e-mailami, tweetami, sms-ami, klawiaturami komputerów i komórek.

Rozmycie

Pisząc w edytorach tekstu, doświadczamy języka jako czegoś nieskończenie płynnego. Znakiem takiej literatury jest woda, podczas gdy znakiem literatury papierowej było drewno. E-tekst rozlewa się w czasie i przestrzeni.

W czasie – bo nie zamarza nigdy do postaci konkretnej, niezmiennalnej. Otwórz w Wordzie Biblię, naciśnij klawisz – już zmieniłeś Pismo Święte. W pewnym sensie oznacza to koniec myślenia interpretacyjnego rozwiniętego w tradycyjnej kulturze pisma – słowo znów utraciło stałą, obiektywną postać.

W przestrzeni – bo prosta operacja w edytorze wycina, mnoży, przekleja całe bloki tekstu. Ta zgubna łatwość przesuwania i zmieniania toku opowieści przenosi się wprost na rytm narracji we współczesnej literaturze. Redaktorzy i korektorzy walczą z nowym rodzajem błędów powtórzenia: dublują się nie pojedyncze słowa, a długie fragmenty – autor tyle razy stosował „kopiuj-wklej”, że zapomniał, co gdzie przekleił. Nawet w jego umyśle tekst się roztopił i rozpląnął.

Co ważne: ponieważ pisząc w edytorze, nie jesteśmy w stanie obejmować myślą i wzrokiem więcej niż ten wycinek tekstu, który akurat znajduje się na ekranie, okno „uwagi fabularnej” jest znacznie mniejsze niż w narracjach tradycyjnych tworzonych na papierze. Ta cecha wiąże się bezpośrednio z zanikiem rozległych rozumowań implikacyjnych na rzecz lokalnych rozumowań asocjacyjnych. Wykształcił się oto nawyk lektury „szczelinowej”, „punktowej”.

Proszę sobie przedstawić czytanie jako proces: lampa umysłu oświetla pograżony w mroku fresk językowy. Dziś czytamy inaczej, bo wymontowano nam z głów reflektory, zastępując je chirurgicznymi latarkami.

Autorom się wydaje

Jak to wszystko odbija się na tworzonej współcześnie literaturze? O jasną diagnozę bynajmniej niełatwo. W praktyce – u autorów i czytelników – na pierwszy rzut oka mamy do czynienia z dwoma przeciwnie skierowanymi trendami.

Z jednej strony, istnieje silne przekonanie, iż zmiany warunków życia i uczestniczenia w kulturze wymuszają zmianę form literackich. Owszem, w pewnym momencie prawie cała literatura polska składała się z powieści nieprzekraczających dwustu stron – i taki jej kształt uważano za historyczną konieczność. Najprostsze byłyby wyjaśnienia następujące: (1) autorzy piszą tak, bo inaczej już nie potrafią (umysły pisarzy uległy przeformatowaniu); (2) autorzy piszą tak, bo czytelnicy nie potrafią już inaczej czytać (umysły czytelników uległy przeformatowaniu). Wariant 2 rozbija się znowuż na dwie możliwości: (2a) przekonanie autorów jest zgodne z prawdą (czytelnicy istotnie się w ten sposób zmienili); (2b) przekonanie autorów jest niezgodne z prawdą (autorzy tylko sobie wyobrażają, że czytelnicy się w ten sposób zmienili).

Z drugiej bowiem strony, nieprzerwanie od PRL-u obecny był trend odwrotnie skierowany – ku epice w rozmiarach XXL. To nieprawda, że takie książki pojawiły się dopiero niedawno, „w reakcji” na kulturę Google’a. Zachodnia literatura popularna preferuje coraz dłuższe powieści co najmniej od lat 70. Niemal każda rozmowa

o moim „Lodzie” zaczynała się od zdziwienia dziennikarza-krytyka: dla kogo właściwie napisałem taką cegłę? Przecież w i a d o m o, że „dzisiaj grubych książek nikt nie czyta”. Takie myślenie stanowi odpowiednik fenomenu Unii Wolności: „nie znam nikogo, kto nie głosowałby na Unię, więc jak mogłaby przegrać?”. Środowiska opiniotwórcze bardzo łatwo otorbiają się w swoich ekosystemach kulturowych i projektują własną normalność na całość społeczeństwa. Co naturalne: one zazwyczaj są najdalej wysunięte na froncie cywilizacyjnym i najmocniej doświadczają tych zmian.

Z pozoru najbardziej prawdopodobny wydaje się więc wariant 2b.

Powieść goglowa

Czy to jednak oznacza, że ostatecznie te procesy ogarną wszystkich i jeszcze trochę, a z przyczyn czysto neurologicznych nikt już nie będzie w stanie – nie zbiegłszy do jakiejś pustelni bez internetu – przeczytać tekstu dłuższego niż blog-notka?

Sądzę, że to rozpoznanie zbyt proste, zbyt czarno-biała alternatywa. Książki się zmieniają, to prawda, ale inaczej. „Wojnę i pokój” może trudniej przeczytać, lecz chętnie czytamy utwory równie długie – tylko że odmiennie skonstruowane.

Mamy do czynienia ze specyficznym połączeniem cech klasycznej epiki wagi ciężkiej z literaturą pokoleń Google’a. Metodą prób i błędów powieść wypracowała formułę skutecznie rozbrajającą w mózgu czytelnika odruch TL;DR.

I nie jest w tej ewolucji osamotniona: połączenie długich form narracyjnych z wrażliwością goglową uznaję wręcz za symbol kultury pierwszej dekady XXI wieku – bo to także czas niebywałego wzrostu popularności telewizyjnych form serialowych: te tasiemce ogląda się w wielogodzinnych maratonach; seriale stały się dla nas domyślną metodą „opowiadania świata”. Również sesje gier komputerowych trwają godzinami (niekiedy przez całą noc).

Przede wszystkim „literatura Google’a” operuje mikromodułami narracji. Rzuca się to w oczy już w graficznym układzie tekstu. Proszę otworzyć w dowolnym miejscu któryś z tomów serii „Millenium” Stiega Larssona, tego wzorca współczesnego bestsellera (a każdy tom to ponad 600 stron). Mamy tu bloki tekstu wprost odpowiadające scenom z nowocześnie montowanego serialu: ujęcie, ujęcie, dialog, cięcie.

Z tym wiąże się druga cecha wspólna z serialami: symultaniczność. Akcja rozbita zostaje na kilka (a niekiedy – jak u Kinga, w technothrillerach czy sagach fantasy – kilkanaście lub kilkadziesiąt) wątków, lokalizacji, wiodących postaci. W ten sposób powieść (i serial) sztucznie zaspokaja owo wdrukowane w zguglowany mózg pragnienie przeskakiwania do wciąż nowych strumieni danych: nie mogę na kartkach książki otworzyć kolejnego okna przeglądarki czy wejść na kolejny kanał czatu, ale zanim ten odruch bezwarunkowy wyrwie mnie z lektury – jestem już w innym wątku, w innej scenografii, z innymi bohaterami. I znowu. I znowu. I znowu...

Wspólna dla tej literatury i seriali jest też zasada fragmentacji, dzięki której umysł nie musi sięgać poza wąski obszar oświetlony przez latarkę uwagi. Nawet gdy oglądasz ciągiem pół sezonu, gdy czytasz gruby tom, to dla orientacji w opowieści wystarczy ci

utrzymanie w głowie zaledwie jednego odcinka, kilkudziesięciu stron. W serialu odpowiada za to zamknięta struktura scenariusza każdego odcinka oraz telegraficzne streszczenia zdarzeń uprzednich doklejane przed czołówką. W przypadku powieści gugłowej czytelnicy ze starszych pokoleń – i jakże wielu recenzentów! – narzekają na wodolejstwo i zbędne repetycje. Ale właśnie ta technika powtórzenia zabezpiecza czytelników zgugłowanych przed zagubieniem. Książka to nie blog, lecz wedle powyższych założeń nie powinna żądać większego wysiłku w lekturze niż blogi.

Słowa, słowa i po słowach

Tak naprawdę jednak to nie blogi określają dzisiaj kierunki rozwoju komunikacji sieciowej. Jej ciężar przeniósł się na komunikatory jeszcze szybsze i skrótsze, jak Twitter czy Blip, które mają im właściwe modele narracji („opowiedz swój stan ducha w 140 znakach”); a także na tekstowe i pozatekstowe aplikacje serwisów społecznościowych.

Internet bowiem istotnie spowodował nadzwyczajną obfitość produkcji słowa pisanego. Nigdy w historii ludzkości statystyczny człowiek nie pisał tyle listów, co w szczycie użyteczności e-maila – który mamy już za sobą.

Gdyż wszystko wskazuje, że dominacja słowa w sieci to etap przejściowy, bo stanowiący bezpośredni skutek ograniczeń technologicznych w metodzie wprowadzania i prezentacji danych, a zwłaszcza zarządzania nimi, organizacji, przeszukiwania itp. Po prostu operacje na dźwiękach, grafice, filmach były i nadal są trudniejsze do zakłęcia w tani i wygodny dla użytkownika software i hardware – niż operacje na tekście. Wszelako branża pompuje tu w badania i rozwój coraz potężniejsze sumy i należy się spodziewać, że formaty audio i wideo stopniowo przejmą większość użytkowo-komunikacyjnych funkcji tekstu.

Jak wtedy zmienią się nam mózgi? W jaki sposób do tych zmian przystosuje się książka? Tego nie sposób jeszcze przewidzieć – jednak optymistycznie nastraja sama ta plastyczność literatury, żywotność wobec ofensywy nowych mediów nawet gatunku tak konserwatywnego jak powieść.

Inny mózg czyta, trochę inaczej i trochę inne książki – ale mimo wszystko czyta.

I cóż, że piszesz?

Idąc wszak za Lemem, nawet jeśli „piszą wszyscy”, to nikt nie czyta, a jak czyta, to nie rozumie, a jak rozumie, to nie pamięta. W wielu wypowiedziach – choć akurat nie w dyskusji na łamach „TP” – pobrzmiewa obawa przed potopem słowa pisanego i deprecjacją, wręcz sprofanowaniem literatury przez tę masowość. (Wystarczy chwila z Google'em, by znaleźć tuziny forów i serwisów poświęconych treningowi pisarskiemu i sposobom wydania książki). Biorę te strachy za przejaw błędnego rozumienia literatury jako sztuki – za fetyszyzację samego aktu pisania.

Czy rzeczywiście istotą literatury pięknej jest produkcja słowa pisanego – czy też to, co w nim przekazujemy, co nim wywołujemy w umysłach czytelników? Tak samo jak zwalczenie analfabetyzmu nie uczyniło ze wszystkich pisarzy-artystów, tak i nie uczyni ich nimi możliwość powszechnej publikacji. Wydawnictwa drukujące dzieła grafomanów na ich koszt nie są nowym wynalazkiem. Każdy, kto chce, może się

mienić pisarzem i przedstawiać na dowód sążniste publikacje. I cóż z tego?

Absolutna wolność publikowania w internecie powinna zadziałać wręcz oczyszczająco, uwalniając akt twórczy z ornamentyki rytuałów.

Nie jesteś nikim wyjątkowym dlatego, że umiesz pisać. Nie jesteś wyjątkowym dlatego, że napisałeś opowiadanie czy powieść. Istotna będzie dopiero ich jakość, oryginalność. Moc.

JACEK DUKAJ (ur. 1974) jest pisarzem. W swoich powieściach i opowiadaniach tworzy kompletne światy, z własną nauką, historią, filozofią i teologią. Laureat m.in. nagrody im. Janusza A. Zajdla (pięciokrotnie), Nagrody Kościelskich – za „uniwersalne wartości jego twórczości, sprawność językową i narracyjną oraz rozmach jego powieści” oraz Europejskiej Nagrody Literackiej. Wydał m.in. powieści „Xavras Wyżryn” (1997), „Czarne oceany” (2001, 2008), „Inne pieśni” (2003), „Perfekcyjna niedoskonałość” (2004, 2008), „Lód” (2007), najnowszą jego powieścią jest „Wroniec”, przekładający na dziecięcą wyobraźnię czas stanu wojennego w Polsce ’81.